

## Kat Falls

### Podwodny świat. Mroczny dar

#### Rozdział pierwszy

(...)

Cały magazyn ociekał krwią – spływała ze ścian, ławek, schowków... Narzędzia do podwodnych poszukiwań leżały rozrzucone w kałuży lśniącego płynu. Wstrzymałem oddech, żeby nie czuć cierpkiego, metalicznego zapachu, który wypełniał moje nozdrza – odor przywodzący na myśl zalany krwią pokład statku poławiaczy wielorybów.

„Nic wielkiego, pewnie rybacy zarzynali tu jakąś gigantyczną rybę – pomyślałem. – Może był to samogłów albo marlin. Nie ma powodu do paniki. A jednak...”.

Zakradłem się w głąb pomieszczenia. Żadna zabijana ryba, choćby nie wiem, jak się szamotała, nie zdołałaby opróżnić półek z bronią, nie mówiąc już o wyrwaniu ich ze ściany.

Przeszedłem obok przewróconych półek, świecąc po otwartych szafkach – wszystkie były doszczętnie splądrowane. Pociągnąłem za pasek na szyi. Kask miałem zsunięty na plecy, co zwykle mi nie przeszkadzało, lecz tym razem jego ciężar mnie dusił. Mój niepokój potęgował łomot – czyhające na zewnątrz rekiny uderzały o kadłub łodzi, usiłując dostać się do środka.

Postanowiłem zaczekać, aż się uspokoją, wypłynąć do strefy słońca i poszukać czegoś do jedzenia, co już dawno powinienem zrobić. Jednak łoskot nie ustawał, a nawet rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Co gorsza, nagle do mnie dotarło, że to wcale nie rekiny, lecz... kroki.

Zgasłem latarkę. Pogrążyłem się w mroku. Opuszczona łódź zbryzgana krwią to upiorne miejsce, lecz tupot w korytarzu nie przypominał kroków ducha. Po cichu zdjąłem rękawice i sięgnąłem po kuszę, którą miałem w pokrowcu na plecach.

Duchy nie istnieją, ale banici tak.

Od miesięcy kolonię terroryzował gang Szarłat. Plądrowali statki, które zaopatrywały nas w zapasy. Często zastanawiałem się, co by było, gdybym się na nich natknął. Wszystko wskazywało na to, że taka okazja nadarzy się za chwilę.

Chciałem zarzucić kuszę na ramię, lecz zimny metal wyślizgnął mi się z dłoni. Zdołałem uchwycić ją za pasek, zanim stuknęła o podłogę. Tymczasem kroki w korytarzu zamieniły się w trucht.

Przykucnąłem za skrzynią i wycelowałem kuszę w drzwi. Gdy kroki się zbliżyły, położyłem palec na spuście. Próbowałem wyrównać oddech, ale nie mogłem opanować

drżenia rąk. Mierzyć do żarłocznego rekina to nie to samo, co nadziać na bełt człowieka – nawet jeśli to nikczemny banita. Nie byłem pewien, czy wystarczy mi odwagi.

Nagle do pomieszczenia wdarł się snop światła. Padł prosto na moją twarz. Oślepiony wycelowałem kuszę, a wtedy rozległ się krzyk – nie mój – i światło zgasło. Zerwałem się z podłogi i pobiegłem korytarzem w ślad za krokami – na pomost.

Sądząc po krzyku, nie mógł to być banita.

Okazało się, że to dziewczyna.

– Nie zrobię ci krzywdy! – zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

– Zaczekaj! – Skierowałem promień latarki na kuszę, którą schowałem z powrotem do pokrowca. – Nie bój się.

Na pomoście, podobnie jak w magazynie, panował bałagan. Na szczęście nie zauważyłem krwi, tylko powyrywane konsole i zwisające z sufitu przewody. Nagle pęk kabli zafalował niczym kępa wodorostów – domyśliłem się, że ktoś przemknął obok. Gdy rozsunąłem przewody, błysnęło światło.

– Kim jesteś? – Usłyszałem cienki głos.

Zdziwiony skierowałem latarkę w stronę, skąd dochodził. Dziewczyna podeszła do mnie zdecydowanym krokiem, zarzucając długim, ciemnym warkoczem. Słowa uwięzły mi w gardle.

– Wystraszyłeś mnie! – rzuciła. W jednej dłoni ścisnęła latarkę, w drugiej zielony nóż. Ręce jej drżały, ale błękitne oczy patrzyły gniewnie i wyzywająco.

– Przepraszam – wyjąkałem zszokowany.

Na oko miała jakieś piętnaście lat, a więc tyle co ja. Jednak najbardziej zdumiało mnie to, że pochodziła „z ładu”. To nie budziło wątpliwości. Jej twarz o zaróżowionych policzkach, ze złuszczoną skórą na nosie wskazywała na przebywanie w zasięgu oddziaływania promieniowania słonecznego.

Przystanęła.

– Jesteś duchem?

Milczałem. Zawsze chciałem chociaż raz spotkać nawodniaka, który nie patrzyłby na mnie jak na dziwoląga – ja nigdy nie robiłem uwag na temat ich opalenizny.

Dziewczyna wyprostowała ramiona, jakby szykowała się na najgorsze.

– Jesteś duchem, prawda?

Omam nie skinąłem głową, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

– Jestem żywym człowiekiem – odparłem. – Tak jak ty.

– Świecisz się – zauważyła z wyrzutem.

Do jasnej makreli! To, że moja skóra błyszczy, nie oznacza, że jestem duchem. Nie jestem wychudzony, nie mam zapadniętych oczu. Od pracy w polu wyrobiły mi się mięśnie, a moje tęczówki mienią się zwyczajnym kolorem morskiej zieleni.

- To nie jest świecenie - wyjaśniłem jej. - To się nazywa połysk. - Staralem się nie okazywać poirytowania. - Od spożywania bioluminescencyjnych ryb.

Dziewczyna podeszła bliżej.

- Ludzie takich nie jedzą.

- Na dnie oceanu owszem.

- Serio? To takie... - Nachyliła się i dźgnęła mnie latarką w żebra. Krzyknąłem z bólu, a ona jeszcze głośniej. - A niech mnie gorąca smoła! Jesteś prawdziwy.

Żadna riposta, nawet złośliwa, nie przyszła mi do głowy. Nie dość, że dziewczyna walnęła mnie tak, iż nie mogłem złapać tchu, to jeszcze chciała przeświecić mnie latarką. Do licha! Całe szczęście, że nie wypróbowała na mnie noża.

- Pomyślałam... - wyjąkała. - No wiesz, w ciemności wyglądasz, jakbyś...

- To nie jest świecenie!

- Jasne - zgodziła się szybko i schowała swój zielony nóż. - Oczywiście, że nie. Bardzo przepraszam. Nic ci nie jest? - Przysunęła się bliżej, odgarniając z czoła długie kosmyki włosów.

- Jakoś przeżyję. - Czułem, że następnego dnia będę miał sińca wielkości szkarłupni.

- Widziałeś, ile tam krwi? - spytała.

- Prawdopodobnie to rybia krew. - Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Dziewczyna podeszła bliżej, jak typowa nawodniaczka. Czułem, że zabiera mi tlen; zrobiło mi się słabo. Cofnąłem się.

- Co tu robisz?

- Myślałam, że to łódź mojego brata. Oby nie... - Poświeciła latarką po wyrwanych konsolach. - Mój brat nurkuje gdzieś w okolicy. Poszukuje koncentracji manganowych.

- Czarnych pereł. Tak je tu nazywamy... tak mówią o nich poszukiwacze, jak twój brat. Zaraz... To znaczy, że jesteś tu sama?

- Ty też - odparła takim tonem, jakby chciała mi coś udowodnić.

- Mieszkam pod wodą. Byłem pierwszym człowiekiem, który urodził się w podwodnej kolonii. A ty jesteś... - Czy określenie „nawodniacy” uważali za obraźliwe? Nie miałem pojęcia. Za to ja nienawidziłem, kiedy tamci mówili o kolonistach „ludzie mroku”.

- Słucham? Niby kim jestem?

- Jesteś z góry - poprawiłem się.

- Z góry. - Uśmiechnęła się, jakby rozbawiona tym stwierdzeniem. - Chodzi o to, że mieszkam na lądzie?

- Tak.

- Skąd wiesz?

- Skąd wiem?

- No, że jestem z góry.

Żarty sobie stroiła? Nawet gdyby nie wydziwiała na widok mojej świecącej skóry, i tak poznałbym, że to nawodniaczka. Co gorsza, od razu wiedziałem, że słabo nurkuje.

– Po piegach – odparłem. Widząc jej zdziwioną minę, dodałem: – Tu, na dole, nikt ich nie ma.

Jej twarz wyglądała jak posypana mokrym piaskiem. Skierowałem latarkę nieco wyżej.

– No i twoje włosy.

– Włosy? – Jej głos spoważniał.

– Te pasemka.

Miała brązowe włosy, jak ja, lecz muśnięte miedzianymi refleksami. Jak to się dzieje, że słońce rozjaśnia włosy, a przyciemnia skórę? Nie potrafiłem tego pojąć.

– Pasemka... – Zarzuciła warkocz na plecy, chowając go przed moim wzrokiem.

Wyciągnąłem dłoń.

– Jestem Tay.

Zawahała się, lecz po chwili podała mi rękę. Oczywiście, nie zdejmując rękawiczki. Wśród kolonistów uznano by to za zniewagę, ale nawodniacy odsłaniają ciało tylko od szyi wzwyż, a niekiedy zakrywają się nawet po czubek głowy.

– Mam na imię Gemma.

(...)